

W KSIĄŻKACH NADAL NIE MA POEZJI

Krzysztof Hoffmann

1.

Kiedy miałem przyjemność obejmować niniejszy przegląd czasopism (CzK 3/2011), pisałem o pierwszym numerze pisma, którego nieoczywisty rozmach robił silne wrażenie. Albo inaczej, wrażenie nieoczywistości wynikało z siły rozmachu. Oto na polskim rynku czasopiśmienniczym pojawił się periodyk, który rekrutował autorów nawet nie tyle pierwszoligowych, ile z literackiej, krytycznej i akademickiej ekstraklasy, pokazywał, że teksty adresowane do czytelnika niezainteresowanego specjalistycznym żargonem mogą swym poziomem mierzyć bardzo wysoko, oferował poczucie obcowania z kulturą europejską, ba!, światową, dysponował dobrodziejstwem wysokiego nakładu. W momencie, gdy piszę te słowa, pismo istnieje już ponad dwa lata i obchodzi mały jubileusz dziesiątego numeru. Warto spojrzeć na jego krótką historię, jako że przegląda się w niej spora część naszej aktualnej kultury książkowej. Bo o „Książkach” wydawanych przez koncern Agora, oczywiście, piszę.

2.

Samo pismo co jakiś czas pojawiało się w niniejszym dziale (choćby w CzK 1/2013). Oczywiście

ście powoływanie się na nie ma dzisiaj tak samo charakter fakultatywny, jak przywoływanie jakiegokolwiek innego czasopisma. Demokryzacja kultury nie tylko doprowadziła do utraty centrum znaczeń, co teoretycy zdołali przewidzieć dość wcześnie, sprawiła także, że w konsekwencji nawet istotne konteksty są efektem skrzyżowania zasięgu medialnego i jednorazowej selekcji jednorazowego czytelnika niż miarą ważności tematu. Tak jest w wypadku doboru materiału do „Książek”, taki „Książek” jako materiału do omówienia.

Kulturowa heterogeniczność nie zmienia jednak faktu, że pismo drukuje nierzadko teksty świetne, wybitne, stawiające ważne tezy lub (albo zarazem) też takie, które potrafią sprawić sporą lekturową przyjemność.

Niektóre z nich znalazły swoją funkcję i sprawdziły się w propedeutyce akademickiej. Już w pierwszym numerze (1/2011) Irena Grudzińska-Gross w szkicu *Rentgen nie zna litości* czyniła cenne uwagi odnośnie do przemian współczesnej biografistyki na marginesach *Korczaka* Olczak-Ronikier i *Mitosa* Franaszka. W kolejnym (2/2011) Zbigniew Mikołajko wyjaśniał fenomen popularności G.R.R. Martina (por. CzK 2/2012). Tekst Grzegorza Wysockiego *Ale ból!* (3/2012) skutecznie przekonywał, dlaczego zapoznanie się z trylogią o Christianie Greyu pióra E.L. James jest gorsze nawet od ponownego spotkania z *Trylogią* Sienkiewicza w jej szkolnej wykładni.

Skoro o szkolnych zadaniach mowa, w pierwszym numerze (1/2011) Janusz Rudnicki popisowo i wykwintnie wyżywał się na obowiązkowych lekturach. Niewiele z owego dionizyj-skiego traktowania ocalało, ale sam tekst przede wszystkim przeszywał (w każdym znaczeniu) styl autora *Śmierci czeskiego psa*. Kolejne szkice pod względem tematycznym były równie

chimeryczne, co bohater opowiadań Rudnickiego, spajał je krąg kultury niemieckojęzycznej, za każdym razem, tak jak rzeczony opowiadania, były solidnym kawałkiem (kawałem) literatury. Niezależnie, o czym pisał – dajmy na to o Hannelore Kohl (3/2011), braciach Grimm (4/2012), rodzinie Kruppów (1/2013), Robercie Walserze (2/2013). W wydaniu najnowszym (3/2013) tropi poplątane życie Wagnera, wyznaczając z piękną dezynwolturną: „Ale mnie jego twórczość kompozytorska, jego dramaty muzyczne i ich reżyserie nie obchodzą tu w ogóle. Jego publicystyka również [...]. Mnie obchodzi jego dzień powszedni, nawet okruchy tego dnia”.

Była mowa o szkole, lekturach, traktowaniu. Jeszcze chwilę o traktowaniu. W tym specjalizuje się między innymi Eliza Szybowicz, która, jeśli już publikuje w cyklu „Polska pulpa”, idzie w doszczętnym flekowaniu dzieł marnych w ślady Barańczaka z *Książek najgorszych*. Na początku (1/2011) oberwało się Januszowi Leonowi Wiśniewskiemu: „Jedno trzeba przyznać – Wiśniewski sprzeda dosłownie wszystko. Także wielkie nic”. Następny (2/2011) na celowniku był Wojciech Cejrowski: „Nie trzeba [...] szukać niespójności poza książkami WC. Autor, który kreuje się na niepokornego trampa podróżującego w nieznanne, odkrywa prawdę w stylu: «Dzicy są honorowi» [...]. Jadąc w nieznanne, widzi tylko stereotypy, a kiedy ktoś od stereotypu odbiega, wkrótce okazuje się, że został po prostu źle rozpoznany”. Tekst *Bóg, orgazm, ojczyzna* (1/2012) idzie na potyczkę z książkami Marii Nurowskiej: „Stała się dostarczycielką łatwych wzruszeń i jeszcze łatwiejszych pocieszeń”. W ostatnim numerze (3/2013) pisze, że to nie książki Małgorzaty Musierowicz się popsuły – różni je tylko „stopień natężenia konserwatyzmu” – „Zmieniły się [...] czytelniczki. Są bardziej krytyczne i nie tolerują zbyt topornych chwytów”.

3.

Gdyby tani banał z *Forresta Gump*a o pudełku czekoladek miał jakąś moc wyjaśniającą, powyższe (bardzo ograniczone) przykłady mogłyby służyć jako egzemplifikacja czytelniczego zróżnicowania. Jest jednak i druga strona medalu – redagowanie pisma. A to przypomina już pieczenie ciasta: świetny pomysł, pierwszorzędne składniki, doskonałe intencje, a i tak może wyjść ostatecznie zakalec. Znajomość reguł sztuki jest wówczas w dość zagadkowy sposób drugorzędną sprawą.

Zakalec się (z rzadka) zjawiał. Nie wszystkie numery „Książek” były równe. Czasem ich kondycję opisywała sinusoida, czasem inna, bardziej złożona funkcja, jednak z wyraźnymi zwyczajami i momentami mielisz. Przy lekturze jednego z numerów (prawie) straciłem (z nudów) jakąkolwiek sympatię (był to bodajże 1/2013, ale po co grzebać w nieporozumieniach), po to, aby odnaleźć ją przy kolejnym. Raz odnosiłem wrażenie, że bardzo szybko pismo nie tyle płynie na świeżej fali, ile na niej dryfuje, potem zauważałem, że się jednak myliłem i przynajmniej częściowo ją współtworzy. Nie w tym jednak rzecz, aby punktować – nie wszystko można przewidzieć, a w piśmie adresowanym do szerokiego grona odbiorców nie sposób zainteresować każdym materiałem. Gdyby można było kłócić się o każde pismo tak jak o „Książki”, byłoby nie tylko nieźle. Naprawdę nieźle.

4.

Opór czytelnika trochę bardziej wrażliwego albo też uwrażliwionego na różnie zawaolowane (lub nie) formy promocji może się jednak z czasem obudzić. Niby wszystko jest jasne – wiadomo, że czasopismo nie jest ministerialnym organem, którego misją jest promocja kultury we wszelkich jej odmianach, ale przedsięwzięciem – uwaga, +

brzydkie słowo – komercyjnym, wydawanym przez koncern medialny. Ani nie jest praktyką specjalnie rzadką, ani też wyjątkowo sztykowaną to, że pisze się o książkach, które powiązane są w taki lub inny sposób z wydawcą. Ostatecznie one również współtworzą współczesną bibliotekę i udawanie, że ich nie ma, nie ma też żadnego sensu. Także dlatego, że piszą je niejednokrotnie niebagatelne postaci.

Niemniej tym łatwiej choćby zauważyć, że z początku felietony Mariusza Szczygła z cyklu „Czechofil” chowały się w środku numeru: w 1/2011 na stronie 35 (tu z adnotacją „Uwaga! Wywiad z siostrzenicą Kafki latem w «Wysokich Obcasach»”), w 2/2011 na stronie 23, w 2/2011 na stronie 33. W numerze 1(4)/2012 tekst Szczygła pojawia się jako drugi obszerniejszy materiał (na s. 11). U dołu notka: „Książkę z czechofilskimi felietonami Mariusza Szczygła *Láska nebeská* ilustrowaną zdjęciami Františka Dostála wydała właśnie Agora”. W numerach następnym czeskie zauroczenia na powrót lądują głębiej.

„Książki” reklamami stoją. Czymś pewnie muszą. W numerze 1/2013 na 76 stron naliczyłem, gdyby je powycinać i poskładać, ponad 12 pełnych stron reklam, które nie udają niczego innego, niż są. Czasy. Realia. Zgoda. Ale w tym samym numerze natrafiam na stronie z nagłówkiem „Zrozumieć niedźwiedzia” na tekst *Rosjanin to potrafi!* autorstwa Waława Radziwinowicza. Skład, taki sam jak reszty pisma, w pierwszych chwilach sugerować by mógł, że Waław Radziwinowicz pisze omówienie/recenzję z książki Waława Radziwinowicza *Gogol w czasach google’a*, co więcej, tekst podpisany jest „3 sierpnia 2006”. Dopiero nota wyjaśnia: „Fragment wydanej właśnie książki złożonej z artykułów wieloletniego korespondenta «Gazety Wyborczej» w Moskwie” – oczywiście przez Agorę. Czasy. Realia. Brak zgody.

5.

Nie brakło też w „Książkach” chwytów pod publiczność, które na szczęście nie oznaczały łapania zbyt nisko, a frazeologiczny pas okazał się niezagrażoną granicą. Trochę jakby na wyrost eksponowana była postać Doroty Maślowskiej na okładce numeru 3/2012. Ta sama okładka wyjaśniała, że tym razem chodziło o dziennikarską pogoń za newsem (dwa czasy terazniejsze musiały pójść na zgniły kompromis – długie trwanie literatury i prędkość medialnej reakcji): „pierwsza recenzja jej pierwszej od 7 lat powieści”. Nie za dużo pierwszości?

Zadanie dla recenzenta z gatunku tych arcytrudnych – napisać o książce, która nie jest najważniejszą książką ważnej autorki, i to napisać przed premierą, gdy nie ma możliwości łatwej weryfikacji. Nie aby *Kochanie, zabiłam nasze koty* były złą literaturą, ale raczej nie spełnia ostatnia Maślowska oczekiwań przez Maślowską rozbudzonych. Przemysław Czapliński zawarł to między wierszami swojego tekstu, którego charakter interpretacyjny kazał się domyślać, że nie bez powodu z recenzji eliminuje wymiar *censeo*, oceniam. Dopiero ostatni akapit wraz z wymownym zdaniem wieńczącym odsłaniał niejednoznaczne wartościowanie. Tak przynajmniej czytam słowa: „Miarą talentu pisarki jest warstwa językowa powieści. A miarą jej uczciwości jest to, że umieściła siebie gdzieś pośrodku – jako naiwną i łatwowierną słuchaczkę trywialnych snów i fikcji zmyślanych przez sąsiadów. Z tych zmyśleń utkana została powieść. Wychodzi na to, że dziś nie ma już ratunku nawet w naszych snach. Ani w literaturze”.

Łatwo się wymądrzać po roku od tamtego momentu, na dodatek recepcja jest zawsze umocowana w czasie. Jednak dziś widać, że *enfant terrible* literatury polskiej wraz z ostatnią powieścią udowodniła, że *enfant* już dłużej nie jest, ale

i okropność zostawiła (być może tylko na chwilę) innym autorom. Komentarz Czaplńskiego nie stracił na czasie, termin ważności utraciło natomiast wydarzenie ogłaszane przez „Książki” – wydarzenie, którego na razie nie było.

6.

Być może powyższe przewiny są efektem rozbudzonej imagacji piszącego. Przewinkami. Miejscami spornymi, efektem niezrozumienia złożonych wewnętrznych mechanizmów. Jest jednak obszar, którego tak łatwo nie o(d)puszczę. Puszczą to może zresztą właściwe miejsce wołającego te słowa.

Przy okazji pierwszego numeru odnotowywałem całkowite przemilczenie poezji i zastanawiałem się, czy to celowa strategia. Po dziewięciu kolejnych widać, że całkowicie celowa.

Jeżeli już zjawia się na łamach „Książek” tekst wierszowany, to na stronach „Plac zabaw”, gdzie jest miejsce na twórczość czytelników, krzyżówki i rebusy. W 1/2013 na stronach „Książeczki” (dla dzieci) zjawia się *Wierszyk o mijaniu* Jarosława Mikołajewskiego. Cytuję ostatnią strofę: „I co? I nic. / Bo cały w tym wic, / że kiedy wyjedziesz z miasta, / wystarczy zakłęcie basta / i wszystko, co złe, szybko mija, / bez płaczu i bez mamma mia”. I co? I nic. I cały w tym wic.

Nadsyłana twórczość czytelników jest zabawna (w tym samym numerze ot limeryk p. Tomasza Bauera: „Raz pewna panienska z Przymorza / Wciągnęła strażaka do łóża. / Płonęły hormony, / Więc on rozogniony / Z ochotą ugasił ten pożar”), z pewnością nie jest zła, niekiedy błyskotliwa. Odwołuje się też do absolutnie kostycznego wzorca rymowanej poezji metrycznej, który dzisiaj może być użyty co najwyżej w funkcji pastiszu. Ale to w końcu „Plac zabaw”. Tylko skoro jest „wierszyk”, są „książeczki”, to może

też „placyk zabaw”, a może „placuszek”? Nie podejrzewam redaktorów o złą wolę, ale przyjęli retorykę upupiania i infantylizacji poezji.

Spróbujmy uzasadnić brak jakiegokolwiek poważniejszej (kosztem niepoważnej i szczątkowej) refleksji o poezji, nad poezją, czy to polską, czy zagraniczną. Po pierwsze, może nie ma o czym pisać? W kraju, w którym corocznie wydawanych jest kilkaset tomów poetyckich, tę hipotezę trzeba szybko sfalsyfikować. Po drugie, może ilość nie przekuwa się w jakość? Nie wdajmy się w spór wyższości świąt Wielkonoce nad Bożym Narodzeniem. Zauważmy jednak, że w tym samym kraju to samo środowisko uczestniczy w fundowaniu najważniejszej, zdaniem wielu, literackiej nagrody, w której regularnie nominowane są książki poetyckie (ostatnia Nike trafiła w ręce poety w 2009 roku; był nim Eugeniusz Tkacyszyn-Dycki). Po trzecie, może nie spotyka się z wystarczająco intensywnym zainteresowaniem szerszego grona publiczności? Walorem poezji jest nieschlebianie urzędującym językom, ale można odwrócić problem. W jaki sposób „szersza publiczność” ma uczestniczyć w poetyckim obiegu literackim, skoro nie będzie się o nim pisało? Rodzi się czwarte podejrzenie: skoro nie można na poezji zarobić – można, choć z pewnością trudniej niż na reportażu – to po co o niej pisać?

„Książki” mają podtytuł „Magazyn do czytania”. Czy może należy wysnuć z tego wniosek, że poezja ma inną funkcję, czy że – nadmierna uszczypliwość, ale prawo erystyki – nie jest czytana przez redaktorów? Jest w „Książkach” miejsce na doskonałe wywiady (choćby z Umberto Eco – 2/2011, z Jerzym Pilchem – 2/2012), na komentarze do seriali telewizyjnych (użyteczne i intrygujące), na całostronicowe zdjęcia (trafne i estetyczne). Miejsce na poezję też by się („na pewno” czy „zapewne”?) znalazło. ●